



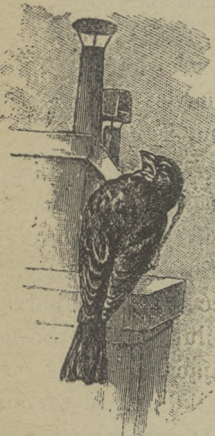
## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### List z Warszawy.



Dawno już należy się wam, kochani moi, odpowiedź. Cały stos liścików leżał przedemną, a ja zebrać się na odpis nie mogłam, bo myśl o téj, która pierwsza z wami mnie zaznajomiła, nieraz lży sprowadzała do oczów.

A jednak ona, ta Kochana pani, właśnie nie pozwalała tracić czasu na bezczynne oplakiwanie zmarłych, ona uczyła pracować dla pozostałych w imię tych, którzy już odeszli.

To też pozbierałam zaległe oddawna korespondencje i siadłam do redakcyjnego stołu, obok osoby, której

oddano Skrzynkę do listów, bo ona niejednokrotnie Kochaną panią w pisaniu do was zastępowała.

Lecz nam obu nasunęła się trudność, jak teraz wy czytelnicy i czytelniczki Wieczorów pisywać do nich będziecie?

Tytułu „Kochanej pani” nie przywłaszczyliby sobie nikt w redakcyi, wszystkim on zbyt drogi, ale kiedy zastanawialiśmy się nad tem przyszło mi na myśl, abyśmy nową moją przewodniczkę *Dobrą panią* nazywali. I na tem stanęło, piszcie więc *Dobra pani*, bo ręczę wam, że jest nią. Ze lżą w oku dziękowała mi za ten pomysł.

— Niech piszą *Dobra* — powiedziała — nauczą się za taką mię uważać, a z czasem może i pokochają trochę jak zobaczą, że ja ich kocham serdecznie. Tak się skończyła ta

nasza rozmowa i teraz już od razu zabieram się do odpowiedzi na wasze listy. Nie zważając na porządek dat biorę pierwszy z brzegu czytam podpis... a więc to wy *Snieżycy i Krasnolico*, wy któreście od tak dawna obdarzały Kochaną panią dowodami pamięci. Listy wasze pisane jeszcze przed jej śmiercią. Myślę, że nic nie zerwie związku serdecznego, jaki nas łączy przez *Wieczory*, nie zapominajcie więc o naszym *Pisemku* i o *Gołąbce pocztowej*.

Zrozumiała to wybornie *Cyganeczka z nad Wisły* dawna także bardzo korespondentka, bo pisze: „Powinnam kochać *Wieczory*, bo Kochana pani pracowała i męczyła się dla nas, więc powinnam i nadal pisywać do naszego *Pisemka*.”

Obiecuję ci *Cyganeczko* pamiętać o twojej prośbie, żądany przedmiot prześle ci redakcyja. Jeszcze inna stara korespondentka, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*, patrzy na mnie ze swego liściku, a mam słabość do téj *Kuropatewki*, chociażby za uczucia jakie w niej obudził wizerunek, otrzymany jako nagroda na konkursie. Cieszę się bardzo, że potrafiłam dogodzić ci kochana *Kuropatwo*, a *Niezapominajkę z nad Wisły* (bo jej liścik króciutki dostał mi się teraz do rąk) zapewniam, że konkurs robót tak samo jak w roku przeszłym ogłoszonym będzie. Haftuj więc ząbki, ty niezapominająca o biednych *Niezapominajko*, a ja z radością powitam twoję robotę i ubiorę w nią jaką chorą w szpitaliku dziecinę.

*Gajówko modra i Stokrotko polna!* chętnie przyłączyłabym się do rozmów waszych o Kochanej pani, bo któż lepiej odemnie mógłby powiedzieć wam, jak ona kochała wszystkie swe dzieci. *Gajówkę* zapewnić mogę, że *Pisemko* nasze ma troskliwych i zdolnych przewodników, sądzę prze-

to, że wy drogie moje, obdarzać je będziecie nadal życzliwością waszą.

Zrozumiała to *Filaretka*, pisząc, że „miłość czytelników wynagradzać musi kłopoty dla ich dobra podjęte” prawda droga moja, że wielka to pociecha odbierać od was dowody życzliwości, czasem, gdy idę ulicą a spotykam młode panienki, mam ochotę stanąć i zapytać o imię, bo w każdej upatruję podobieństwo do was, przyjaciółki moje. Często opisujecie mi swą powierzchowność, niektóre znam z fotografii, inne we własnej odtwarzam wyobraźni i staję na chwilę wachając się, czy nie zaczepić przechodzącej, bo może to która z was ukochane, do których myśl moja wyrwa się tyle razy, tylko skrzydeł tej myśli braknie, aby obiedz wszystkie zakątki kraju; biedna Gołąbka, licha z niej ptaszyna, powiecie, ale zato wypróbowana przyjaciółka, dodam.

Rzopisałam się, a tu tyle jeszcze liścików leży przedemną. Spieszę więc upewnić nową korespondentkę, że jeśli ona nazwała się *Chciwą wiedzy*, to ja słusznie mogłabym się *Chciwą listów* nazwać. Nie oszczędzaj mnie, kochanko, pisuj a ja zawsze z odpowiedzią pośpieszę.

A teraz należy się podziękowanie Pegazowi Skrzydlatemu za długi i zajmujący opis świąt Wielkanocnych. Zdradzę tajemnicę, Pegazie i powiem ci, że brat mój, uczeń, jak ty, pragnie koniecznie korespondować z szanownymi Pif, Paf, Puf z Pegazem, Kupidem, (który wolelibyśmy, aby sobie pseudonym inny obrał) jednym słowem z wszystkimi czytelnikami „Wieczorów” i wyręczyć mnie czasami w odpowiedziach, bo utrzymuje, że panny nigdy nie potrafią przejąć się upodobaniami i sprawami młodzieży. On też najsurowiej listy moje sądzi i będę bardzo zadowolona jeśli redakcja pozwoli mu do was się odezwać, może to nawet wpłynie na zachęcenie was do konkursów, bo braciszek przyrzeka na wakacje bardzo dowcipny wymyśleć. Za obietnicę walca serdecznie dziękuję, mogłabym go odebrać przez redakcją, ale nie chcę cię pozbawiać tak cennego rękopisu, chociaż nasza Kochana pani mówiła zawsze, że przedwczesne talenta rzadko kiedy prawdziwy przynoszą pożytek.

Czyż to ładnie *Biała Ostróżka* wodzić swą przyjaciółkę na pokuszenie i namawiać do zdradzenia tajemnicy? Toż ja sama nie chciałabym, aby wiedziano mój pseudonym muszę więc szanować cudze. Autorka *Branki litewskiej* rada temu że powieść jej, tobie i Góralce tak się podobała. Góralka pisze „Babunia moja czytała ją z zachwytem” Śliczna bo to powieść, a myślę, że niedługo wychodzić zacznie nowy utwór tej samej autorki Szesnastoletni Wojewoda, o której się też Ostróżka dopomina. *Kary konik* zawstydził Gołąbkę doskonałą kaligrafią, ale jeszcze bardziej zawstydziłam się przeczytawszy wymówki *Wisienki z nad Sobu* i *Horpyny* za nieodpisanie na ich liściki. Czy tylko słuszny ten zarzut? Wisienko i Horpyno, ja się przecież tak staram nie zapomnieć nigdy o żadnej z was, kochane moje siostrzyczki, tem mi przykrzej, że jak piszesz, Wisienko, smutną z powodu choroby sióstr spędziłaś zimę. Darujesz mi mimowolną tę niegrzeczność, a ja starać się będę zadowolić was na przyszłość.

Pytasz się kochana *Kulko Śniegowa* jak zamierzam święta spędzić, a teraz wiesz już, że te święta i przygotowania do nich zeszyły żalobnie i we łzach po naszej Kochanej pani. Dobra *Dewajtis* (która nie wiem dla czego taki mężczyzna obrała pseudonym), zrozumiała to, wielką też są dla mnie po-

ciechą słowa współczucia odebrane w jej liście, myślę, droga *Kulko*, że i ty równie dobrze żal mój odczujesz i wkrótce nowem obdarzysz mnie pismem.

*Jesień i Kanurek* pragną abym im dała szczegóły o życiu Kochanej pani. Macie je drogie moje własną jej ręką skreślone dla Przeglądu Pedagogicznego. Powtórzyły wszystkie Pisma to co o sobie pani Zaleska napisała, a panna Urbanowska, która, jak trafnie się domyślasz kochana *Jesieni*, pomocy swojej „Wieczorom” nie odmówiła, ślicznie i z miłością uczciła w naszym Pisemku ukochaną zmarłą, twoje zaś modlitwy Kanarku pewnie za nią przed tron Boży trafiły.

*Poranek majowy* znajdzie także w życiorysie pani Zaleskiej odpowiedź na swe pytanie, ale list do Pegaza niewiem czy będzie drukowany, bo pomimo pseudonimu męskiego dawno odgadłyśmy w tobie siostrzyczkę, a wbijałoby to w dumę tych panów, gdyby do nich nasze czytelniczki pisywały. Ślicznie i z serca pisać umiesz, Peranku, dałam twój liścik do przeczytania Dobrej pani, i ona cię uściskać kazała, za to, że pierwsza obiecujesz ją kochać. Mnie spotkała wielka radość, znów trzy nowe korespondentki „Wieczorów” odezwały się do mnie. Piszesz, *Aldono*, że mię się bałaś. Doprawdy nie do śmiechu mi, a jednak uśmiechnąć się musiałam czytając te słowa. Nie, drogie moje, *Lipo z Pawłówka*, *Aldono* i *Rusałko*, czegoż się bać biednej Gołąbki, która was kocha i pragnie każdej dogodzić? To ja się was boję, teraz na przykład czeka na mnie cała paczka odpowiedzi konkursowych, aż drzę, żeby w czym nie pobłądzić i zadowolnić was, własne sumienie moje, Dobrą panią, a także i tę Kochaną panią, której duch pewnie czuwa nademną i niedopusci zniechęcenia do serca Gołąbki. Śliczny liścik napisała *Malinka* z Goworowa, a chociaż konkurs dawno już rozstrzygnięty, będzie ci miło wiedzieć Malinko, że Kochana pani czytała go jeszcze i bardzo się jej pomysł twój, zostania szewcową, podobał.

*Łapka gołębia* pisze, że radaby mnie uściskać, cóż naturalniejszego, wszak my obie mamy już nawet pseudonymy zbliżone do siebie. Ściskam i ja tę kochaną *Łapkę*.

*Stokrotce z nad Stochodu*, *Białoszce*, *Stokrotce z nad Pilicy* i *Różowej Werbenie* dziękuję serdecznie za ich liściki i szarady. Te ostatnie muszą czekać kolei, tymczasem leżeć będą w dużej kopercie, która jest tak pełna, tak pełna, że aż strach spojrzeć jaką to Dobra pani mieć będzie z uporządkowaniem lamigłówek robotę. Jakże milutko pisze *Sosna polska* i *Piszczalka z nad Uszy* przesyłając dla Kochanej pani życzenia świąt, wiecie Sosno i Piszczalko droga, że ona już tylko modlitw naszych potrzebuje, ale tem więcej Gołąbka i przewodniczka jej *Dobra pani*, pragną waszych liścików, bo cóż większą pociechą w strapieniu jak myśl, że są tacy, co żal nasz dzielą i przyjaźń nam swoje zachowują.

A teraz znów spotkała mnie niespodzianka, przyniesiono nowe listy z poczty i znalazłam między niemi kilka nazwisk, które pierwszy raz odezwały się do naszego Pisemka i to za mojem pośrednictwem. Śliczny pseudonym obrałeś sobie *Bratku podolski*, od razu przypadł on do serca Dobrej pani, kazała ci też powiedzieć, iż brakujący numer natychmiast wysłać poleciła. *Sokół z nad Narwi* nie chce wierzyć, że jego bukiecik wielką zrobił mi przyjemność, a jednak tak jest, bo Gołąbka chociaż dużo znała win przy Wielkanocnym rachunku sumienia, nie jest niewdzięczną, i długo pa-

## ZAGRANICZNA PENSYONARKA,

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

STEFICIO I FLORCIA.

Maniusiu nie schylaj się, bo cię noga boli. Czego ty szukasz? Co tobie upadło? Ja poszukam! Ja!

MANIA.

To piłeczka...

STEFICIO.

Czekaj, czekaj...

(odsuwa Florcję, oboje podnoszą i sadzają na krzesła Manię, poczem Stefcio szuka pod krzesłami, znajduje i podaje jej piłeczkę).

STEFICIO.

Na masz, a nie nachylaj się nigdy bo ja od tego jestem. Co to już stajemy?

WSZYSTKO TROJE.

Stacya! stacya! Zarucze! już przejechaliśmy jedną stacyą, to już tylko Chabówka, Skomielną, Jordanowo, Osielec i będziemy u dziadzi!

BABCIA.

Czy tylko dziadzio odebrał moją kartkę? czy przysłał po nas powóz na stacyą?... bo jak nie, to będzie trochę kłopotu.

STEFICIO.

A prawda! Czy tylko babcią kartkę w domu odebrali?

FLORCIA.

A jeżeli nie odebrali?... Ha, to trzeba będzie wziąć nogi za pas i marsz piechotą do domu; albo to daleko, albo to ja nie chłópiec?

MANIA.

Babciu! co babcia mówi? Co oni mówią, babciu?

STEFICIO (nachylając jej się do uszka).

A to babcia mówi Maniusiu, że jeżeli dziadzio nie odebrał jeszcze jej kartki, to będzie kłopot jak się dostać do domu ze stacyi.

FLORCIA (do drugiego uszka).

A ja mówię, że jeżeli dziadzio nie przysłał po nas koni na stacyę to pójdziemy do domu pieszo, marsz marsz!

WSZYSTKO TROJE.

Marsz marsz! (pociąg rusza, dzieci przy nagłym wstrząśnięciu wspierają się wzajem zanosząc się od śmiechu). Ha ha ha!... jedziemy!

BABCIA.

Tak, marsz marsz, jedzicie zamiast maszerować i to niedłwie na czworakach: czyś się tylko nie uraziła w nogę w tym marszu Maniusiu?

STEFICIO I FLORCIA.

Maniusiu, czyś się uraziła? Maniu? (podnoszą ją i sadzają).

MANIA.

Ej nic mi. (zanosi się od śmiechu).

BABCIA.

Posiedźcie chociaż trochę spokojnie, bo uprzykrzacie się tym paniom.

(Stefcio i Florcia siadają naprzeciw babci i Mani, i Stefcio wsparłszy głowę o krzesło zamyka oczy i mówi).

STEFICIO.

Jedziemy, jedziemy, wio! Aj aj, jak też to w tę stronę prędko się jedzie, a w tamtę jechało się daleko wolniej; przejechaliśmy jedną stacyę, już tylko przedjedziemy Chabówkę, Skomielną, Jordanowo, Osielec, i będziemy w domu. Ach! co za szczęście, czyż może być gdzie lepiej jak w domu?

FLORCIA.

Już tylko Chabówka, Skomielną, Jordanowo, Osielec... i jesteście u dziadzi! Aj, jak gorąco!... (ziewa, skłania głowę

mięta okazaną jej życzliwość, a Sokół straszny ptak, jakże nie cenić przyjaźni tak potężnego sprzymierzeńca.

Staruszką to także nowa moja korespondentka, zajęcia, o których piszesz, nie bardzo się z siwizną starości zgadzają, ale powiem ci pod sekretem, że i ja, chociaż dla wieku dawno do konkursów nie należę lubię bardzo powozić i kto wie? mam różne na te wakacje zamiary, może też kiedy spotkamy się na wsi. Śmiejesz się naprzód z Warszawianki, że ci zrównać nie potrafi, ale ostrożnie, kochana Staruszkę, będziemy się ścierać, a wtedy zobaczymy.

Zapomniałam na chwilę o moim smutku, ale myśl prędko wróciła do Kochanej pani bo Truskawka z Zygmuntem, także nowa korespondentka pisze, że się boi do niej samęj pisać.

O, nie bałabyś się Truskaweczko, gdybyś jak ja widziała wciąż i teraz jeszcze, jej słodkie rozumne oczy, bać się jej? nie, ją tylko kochać można było, a dla niej i przez nią nasze Pisemko, to też nie zapominaj o nas Truskaweczko, a listy twoje z radością czytane będą.

Tak, ma słuszność Rączy jeleni że trzeba się zgodzić z wolą Bożą, a jednak ciężko to nieraz. Jakże zrozumiesz mnie Lewkonio, ty która w tym roku dwie już bolesne poniosła straty. Z całego serca je współczuję droga moja, pracujmy, to hasło zestawione nam przez Kochaną panią. Ona wierna mu była zawsze, a żal po niej, tak rzewnie wyrażony w liściku Jadwisi Byszewskiej (która żadnego nie użyła pseudonimu) niech się zamieni w chęć naśladowania tej niezrównanej kobiety, co cierpiąc, myśleć o drugich umiała. Jeszcze kilka liścików, to Listek Rozmarynu i Nieznajomy łączą się do wszystkich, w współczuciu swem dla biednej Gołąbki.

Dziękuję wam za nie kochani moi, ale najbardziej przyznaję rozrzewnił mnie Kłosek Litewski.

Proście twój stanie się zadość, ty dobry, szlachetny Kłosku. Msze zakupimy i będziemy na nich z Dobrą panią, aby modły nasze za zmarłą połączyć z twojemi. W 18-tym numerze „Wieczorów” znajdziesz dowód iż myśl położenia tablicy pamiątkowej dla Pani Zaleskiej już i przez innych korespondentów podniesioną została.

O, jakże mnie myśl ta cieszy, jest ona dowodem, że słusznie Kochana pani ufała sercom waszym. Ktokolwiek życzyłyby sobie należeć do jej urzeczywistnienia niech się z tem zgłosi do redakcyi, a ta chętnie się pośrednictwa w przeprowadzeniu jej podejmie.

Sięgnęłam raz jeszcze do koperty z liścikami, ale list Kłoska był ostatnim. A czas i mnie mój dokończyć, bo bardzo długi i niewiem czy się miejsce na niego znajdzie.

Jeśli mi redakcyja łaskawie tego miejsca użyczy to chciałabym w przyszłym liście donieść wam trochę wiadomości z Warszawy, bo otwierająca się wystawa pracy kobiet dostarczy tych wiadomości zapewne wiele, ale dotąd nie otrząsnęłam się jeszcze z bolesnych wrażeń, nie żądajcie więc odemnie bym o czemkolwiek pisać mogła, prócz o tej, którą naśladować w pracy i wytrwałości jest mojem najgorętszem życzeniem. Ze łąką w oku, ale i ze łąką wdzięczności za doznane współczucie, żegnam was, czuję się bardziej jeszcze z wami związaną jak dawniej, bo łączy nas wspólny żal i chęć wspólna, by ukochane nasze Pisemko coraz pomysłniej się rozwijało.

Gołąbka pocztowa.

*z wolna zasypia mówiąc*). A potem Maków, Sucha, Skawce, Strzyszków.

STEFICIO.

Babcu, wie babcia że te panny, te ten, o... (*ziewa znów a po chwili zasypia*).

P. WERONIKA.

Biedaczki, babcia kazała im siedzieć spokojnie, a to widocznie było nad ich siły, zaledwie usiadły musiały usnąć.

JADWIGA.

I wtedy też dopiero buzie im się zamknęły (*ciszéj*). Cóż to za paple nieznośne.

P. WERONIKA.

Ale jak te dzieci doskonale znają część kraju w której mieszkają, wymieniają na pamięć wszystkie stacye jedna po drugiej i jak widać do domu przywiązane.

BABCIA (*z uśmiechem*).

Mogę panią zapewnić, że nie tylko tę jedną część własnego kraju znają tak dobrze, życie zaś domowe przekładają nad wszelkie przyjemności.

P. WERONIKA.

Przynosi to zaszczyt nie tylko im ale i ich babce, jeżeli się u niej wychowują.

BABCIA.

Nie mają matki... u kogoż wychowywać się mają biedaczki?

P. WERONIKA.

Biedne dzieci, takie młode!... i już sierotami. Szczęście ich, że jeszcze mają taką babkę. (*półgłosem*) Jadwigo, ty masz oboje rodziców, czy nie pomyślałaś nigdy, że to jest szczęście, mogące pocieszać dziecko w największej nawet niedoli?

JADWIGA.

Nie zdaje mi się aby te trzpioty czuły swoje nieszczęście.

P. WERONIKA.

Jednak biorąc miarę z ich czułości wzajem dla siebie i posłuszeństwa dla babki, możnaby sądzić inaczej (*do babci*). Kuracya zdaje się bardzo tej żwawej dziatwie pomogła?...

BABCIA.

Tak jest, a właściwie tym dwojgu, bo starsza cierpi jeszcze ból w nodze, choć jest znacznie lepiej, więc zdaje się, że z czasem i to złe przeminie. Inaczej ze słuchem, tu Rabka mimo wszystkich swych zalet nie pomogła: dziecko miało zapalenie mózgu i odtąd słuch ma przytępiony, jest przecież nadzieja, że z czasem z tego wyrośnie.

MANIA.

Babcu stajemy, to Skomielną teraz! Już tylko Jordanowo i Osielec!

P. WERONIKA.

W każdym razie miło jest patrzeć i słuchać, jak dwoje tych pozornych trzpiotów, otaczają troskliwością słabszą siostrzyczkę, albo jak siostry usiłują usprawiedliwiać swawolnego braciszka, w sprawie z fruwającym kapeluszem i z chłodzeniem panien, przez oblewanie wodą...

BABCIA.

Ha, biada rodzinie która nie kocha się wzajem i nie wspiera pomiędzy sobą; u nas po staremu czytuje się głośno ustępy z Pisma Świętego, a tam napisano jest, że żaden dom, rozdzielony przeciwko sobie, nie ostoi się...

P. WERONIKA (*półgłosem*).

A ty, czy masz jakie rodzeństwo, Jadwigo?

JADWIGA (*zawstydzona*).

Tak, mam... i czuję to dobrze, że mi pani daje do zrozumienia, że przy nieszczęściu które nas spotkało, bolałam tylko nad sobą...

P. WERONIKA.

Oh, nie miałam tego wcale na myśli!... Chociaż, istotnie, kształcić jedną córkę za granicą dla zadowolenia jej próżności jedynie i to wobec licznej gromadki rodzeństwa, któremu trzeba dać także jakie wychowanie, byłoby zbytkiem nie do darowania w obecnym stanie rzeczy, ze strony twoich rodziców... tem bardziej gdy ta córka właśnie mo-

że już przydać się w domu do pomocy w wychowaniu rodzeństwa.

MANIA.

Stajemy! to znowu stacya! babcu, to już pozostaje tylko Jordanowo i Osielec, a oni śpią!

BABCIA.

Niech śpią te swawolniki, nie budź ich.

MANIA.

Ale im słońce w oczy świeci, trzeba zasłonić okno, babcu, czy można?

BABCIA.

Zasłoń kochanko... Tak, już, teraz dobrze, siadaj, siadaj, bo jedziemy znowu.

KONDUKTOR (*wchodząc*).

Proszę o bilety! (*babcia padaje, on je naznacza i wychodzi*).

P. WERONIKA.

Pani dotąd jeszcze w domu wychowuje wnuczęta?

BABCIA.

Od wakacyi, teraz, chłopiec idzie do szkół, dziewczynki zaś pozostaną w domu przy nauczycielce.

P. WERONIKA.

Jakto? więc pani nie zamierza oddawać panienek na pensyą zagranicę?

BABCIA.

Nie, wcale, ale czemuż to panią dziwi?

P. WERONIKA.

Bo przecież jest w zwyczaju, że ludzie zamożniejsi jeżeli mieszkają na wsi i nie mogą czy nie chcą się wynieść do miasta, oddają panienki zagranicę, choćby dla dokończenia wychowania.

BABCIA.

Tak bywa nie raz, ale u nas inne obyczaje. Jeżeli panienka niema matki, lub osoby któraby tę odpowiednio zastąpić mogła, lub gdy jakieś szczególniejsze po temu zachodzą okoliczności, nie można mieć za złe rodzicom umieszczenia jój, w jakim wzorowym zagranicznym instytucie wychowawczym, ale rzecz inna, gdy żadnej niema do tego potrzeby. Wszak i w domu można się odpowiednio kształcić, a zwłaszcza gdy okoliczności nie pozwalają czynić nierozsądnych wydatków.

(*Jadwiga schyla się szukając rękawiczki którą upuściła*).

STEFICIO (*budząc się*).

A to co? gdzie my jesteśmy? Co to? już znowu stacya, co? to Jordanowo? jakto? a gdzież Chabówka i Skomielną? gdzie Skomielną? przecież ja nie spałem babcu!

BABCIA.

Nie, ty nie spałeś... siadaj bo jedziemy znowu.

STEFICIO.

Spałem? e... to Mruczek śpi o!...

FLORCIA (*zrywa się*).

Co to, to już Jordanowo? a gdzież się podziała Chabówka i Skomielną? cóż to się stało babcu? Przecież ja nie spałam?

STEFICIO.

I ja nie spałem!

BABCIA.

Obojeście nie spali, tylko zadumaliście się i nie widzieli jak tymczasem Chabówka i Skomielną przeszły koło was i poszły sobie w świat.

MANIA.

Co oni mówią, babcu?

STEFICIO (*nachylając się do jój uszka*).

A to my się upieramy żeśmy nie spali, a babcia z nas żartuje i mówi, żeśmy się tylko zamyslili i dla tego nie widzieliśmy, jak Chabówka i Skomielną przeszły koło nas i poszły sobie w świat...

FLORCIA.

A to dla tego żeśmy spali wtedy!

STEFICIO.

Jak bobaki! Ach! już jesteśmy blisko domu! Jakże się to prędko jedzie kiedy się śpi!

MANIA.

O! o!... (*zrywa się do okna*) już nasze żyto, nasze nasze!



Pierwsze polowanie.

FLORCIA I STEFCIO.

Ach, zaraz zobaczymy dom!... o! o! już! o! babciu! dziadzio na ganku siedzi przed stolikiem a Zosia kawę mu nalewa! ach, już dom, dom! Już już stajemy! Osielec! Osielec!

(z gwałtownym pośpiechem zabierają małe pakunki i wybiegają hałaśliwie na prawo, babcia kłania się dwom pozostającym paniom, każde z dzieci przechodząc koło nich mówi:) Zegnam panie.

PANIE.

Żegnamy.

(dzieci z babcią wychodzą.)

SCENA III.

P. WERONIKA, JADWIGA.

P. WERONIKA (patrząc oknem).

Jakże radośnie dążą te pocziwe dzieci do domu, gotowe pieszo pobiedz ze stacy, jeżeli dziadzio nie otrzymał kartki. Oh, szkoda, pociąg ruszył i wesoła gromadka znikła mi z oczu, a pocieszającym jest widok takiej różnej i dobre, choć bez żadnego blichtru wychowanej dziatwy... Wzdychasz?... ah Jadwigo przepraszam cię i zapewniam, że gdybym pamiętała, iż słowa moje możesz zastosować do siebie,

nie byłabym ich wyrzekła (*przybliża się do Jadwigi i całuje ją*). Wierz mi kochanko, że nie tylko nie chciałam cię dotknąć, ale nawet wcale nie miałam zamiaru dawać ci moralnej nauki, która, jeżeli wypływa z zestawienia twoich przekonań ze sposobem myślenia tych dzieci, to stało się to samo przez się, mimo mej wiedzy nawet.

JADWIGA.

Wierzę pani; ale i pani chciej mi uwierzyć nawzajem, że w gruncie rzeczy i ja, pod rodzicielskim dachem, zbyt gruntownie otrzymałam zasady, abym miała nie umieć ocenić życzliwości, z jaką pani starasz się wpłynąć na poprawienie wad charakteru dziecka, chwilowo znajdującego się pod twą opieką.

P. WERONIKA.

Z tych słów możnaby prawie wnosić, że już dzieckiem być przestałaś (*ściskają się*). Bardzo być może, że zmartwienie jakiego doznałaś, wpłynie korzystnie na twe usposobienie.

JADWIGA.

To pewna że nie czuję już żalu o to, iż nie będę wychowaną zagranicą, tak jak niektóre moje znajome; o co przedtem zawsze błagałam rodziców; zajmę się rodzeństwem, umiem teraz i mogę uczyć... młodszych od siebie (*z uśmiechem i ze łzami patrząc na p. Weronikę*) wyjąwszy geografii i historii mego własnego kraju, których pierwej sama uczyć się muszę gruntownie.

P. WERONIKA.

Drogie, kochane dziecko, jakże miło jest być nauczycielem ogrodnikiem, gdy przyjdzie prostować takie jak ty chwilowo skrzywione młode roślinki. Pamiętaj tylko kochanie, nadal, długo jeszcze szukać dla siebie wzorów, choćby nawet w dzieciach, jeżeli tam je znajdziesz jak to dziś się zdarzyło, zanim sama zechcesz być chlubą rodzicom i wzorem dla rówieśnic, jak to postanawiałaś w dziecinnym zarozumieniu.

JADWIGA.

Rozumiem panią i dziękuję. Ach chciałabym już być w domu,

P. WERONIKA.

Otóż znowu stacya!...

KONDUKTOR (*wchodząc*).

Maków! Panie tu wysiadają?

JADWIGA.

Śpieszmy!... wkrótce będę w domu pomocą rodzicom!

(*wychodzą za konduktorem*).

M. Z.

## PIERWSZE POLOWANIE.

(ZE WSPOMNIENIEM MŁODOŚCI.)

Byłem bardzo szczęśliwym dzieckiem. Kochano mię szczerze, a nie pieszczono wcale. Wszyscy najbliżsi moi żyli z sobą zgodnie i wesoło, wszyscy byli zdrowi, pracowali gorliwie, obowiązkowo, ale bez wysiłków, bez smutnej troski o jutro. Nie znałem niedoli, ani niedostatku, chyba z opisów, w książkach zawartych. Stryj i wuj, brat ojca i brat matki, obaj młodzi, nieżonaci i serdeczni przyjaciele, mieszkali w sąsiedniej wiosce razem; kępy drzew rozłożystych, otaczających obie siedziby doskonale widać było wzajemnie z obu naszych ganków. Dwaj ci młodzi panowie, jak to się zresztą bardzo często takim panom zdarza, kochali niezmiernie małe dzieci, utrzymując głośno i dobitnie, że „nie cierpią tych bębnow piszczących”. Aby zatem nieznośne bębny nie piszczały, jeden wygrywał im i wyśpiewywał w najskoczniejsze melode, drugi tańcował, wytupując aż grzmiało w starym dworcu, z siostrzyczką lub synowcem na ręku, nieraz brał i po dwoje malców na raz do takiego tańca, zwanego w takim razie u nas „pas de trois” zalecając tylko „bębnom”, aby mocno go trzymały oburącz za szyję.

Nic dziwnego, że rosnąc wśród takiego otoczenia, nie widząc nigdy złego przykładu, byłem dzieckiem nie złem

i niezbyt nierozgarniętem: trzebaby chyba urodzić się potwora lub idyotą, aby w takich warunkach wyrosnąć na próżniaka, złośliwca, lub głupca. Gdy tylko od ziemi odrosłem, sprowadzono mi na nauczyciela ukochanego koleżkę stryja i wuja, uczyłem się więc ochocz, acz z obowiązku tylko, po to, aby pójść następnie do szkół i przebywszy je sumiennie, przyswoić sobie pewną dozę wiedzy, która jest własnością ogółu i obowiązującą dla każdego w dzisiejszych czasach.

Największą moją rozkoszą było towarzystwo stryja i wuja, którzy w miarę, jak rosłem, przyzwyczajali mię do konia, uczyli pływać i strzelać, tylko na polowanie z sobą nigdy mię wziąć nie chcieli. A właśnie było to najwyższym szczytem moich marzeń. Nie uprzykrzałem się jednakże, przywyklszy do uważania woli otaczających mię osób za niezmienną i niewzruszoną, ponieważ na ważnych opartą przyczynach. Matka to moja przedewszystkiem niepozwałała na mój udział w młodym wieku w polowaniach, a ojciec, stryj i wuj zgodzali się z nią, jak zwykle, przyznając, że broń palna tylko w doświadczonych powinna znajdować się rękach. Aby mię przygotować jednak do późniejszego jej użycia i osłodzić wyczekiwanie, ćwiczone mię w strzelaniu do celu i w robieniu bronią. Jednemu i drugiemu oddawałem się z zapałem i z niemalą wistocie zręcznością.

Z czasem oddano mię do szkół, uczyłem się nieźle, przyjeżdżając już tylko na wakacje do domu, który, acz nic się w nim nie zmieniło, nabrał teraz nowych dla mnie uroków, spowodowanych tęsknotą i oddaleniem. Tak przybywszy raz na wakacje, wesoły, zdrowy i szczęśliwy, gdy po wyściśkaniu wszystkich i obejrzeniu wszystkich kątów udałem się nareszcie do własnej izdebki na spoczynek, krzyknąłem radośnie za wejściem do niej, bo na ścianie nad łóżkiem mojem ujrzałem śliczną dubeltówkę, nóż myśliwski, torbę, różek i t. d. jednym słowem całą wykwintną wyprawę myśliwską z wszelkimi przyborami. Krzycząc, jak szaleniec, z radości, zawróciłem na dół ścisnąć znów wszystkich, nie tylko za same podarki, ale także i za to, czego one były symbolem, za dopuszczenie mię nareszcie do upragnionych rozkoszy polowania. Umówiliśmy się natychmiast z wujem i stryjem i nazajutrz, skoro świt, byliśmy już w lesie. A był to las nie ladajaki, grubszy zwierz nie był w nim nadzwyczajnością, i ja też, idąc na pierwsze w życiu polowanie, ani pomyślałem o zajacu. Jakoż nie długo szukać trzeba było, trzask łamanych gałęzi, bez zbytejnego jednak pośpiechu, dał się słyszeć:

— Rogacz!... buja sobie swobodnie! — szepnął wuj. Zadrżałem... serce mi zabiło wzruszeniem myśliwskiej tak długo oczekiwanej rozkoszy, spojrzałem jednak pytająco na towarzyszy: oba figlarze zdjęli kapelusze, kłaniając się z wyszukany wdziękiem, odstępując mi zaszczytu pierwszego strzału; nie wiem sam, jakim wysiłkiem woli potrafiłem zapamiętać nad drzeniem radości jakie mię przejęło, podniosłem moją strzelbę i w chwili, gdy zwierzę wyskoczyło z krzaków, wypaliłem. Padło od razu, drgając, ale w tejsze chwili, tuż za ubitym wyskoczył drugi jelen, i czy to przestraszony hukiem strzału, lub przerażony widokiem rozciągniętego u stóp jego towarzysza, podskoczył na zadnie nogi, jakby chcąc gwałtownie w tył się rzucić, a przednie wznosił w górę, nadstawiając mi w tej chwili pierś do strzału. Ja też bez namysłu palnąłem z drugiej lufy... jelen zakreślił się miejscu na dwóch nogach, podskoczył jeszcze raz w górę i padł na towarzysza. Wtedy dopiero, ujrawszy tych dwoje ślicznych, pełnych życia przed chwilą zwierząt, martwych u stóp moich, zatrząsałem się niepojętem dla mnie samego, wcale już nie radosnem wzruszeniem; strzelba wypadła mi z rąk, nogi się zachwiały, gdyby mię nie pochwycono, upadłbym zapewne.

— Co tobie, dziecko? Chłopcze, co tobie? — pytano, a ja jedną odpowiedź tylko miałem:

— Nigdy już nic nie zabiję! Nic, nic!...

Dziś, po dwudziestu kilku latach ubiegłych od owęj chwili, zarówno nie jestem w stanie zdać sobie sprawy z owoczesnego wzruszenia, jak wówczas; ale to pewna, że dwie iskierki życia, jakie wtedy tak bezmyślnie zgasilem, rozświeciły w dziwny sposób moje pojęcia: wprawdzie nie dotrzyma-

łem słowa, wyrzeczonego w pierwszym uniesieniu, bo nie jeden dziesiątek wilków ubiłem w życiu, ale na polowanie dla przyjemności nie chodzę.

## Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Tem miastem była stolica wielkiego Chaana, Karakorum. (Tytuł *chana* nosiło wielu książąt z rodu Dżyngis-chana, dla odróżnienia, wymawiano ten wyraz przeciągle, cha-han, czyli chaan, gdy szło o najwyższego władcę Mongolii) Jest karta historii tych dawnych czasów bardzo mało znana, a jednak nadzwyczaj ciekawa, którą znakomita autorka rozjaśnia w powieści ze zwykłą swą erudycją. I my też musimy czytelnikom naszym chociaż w krótkim zarysie te ciekawe dzieje przedstawić. Krzyżowcy, powracający z Ziemi Świętej, dziwne rzeczy opowiadali o państwie chrześcijańskim, leżącym na dalekim wschodzie, tuż pod chińskim murem, więc tak jakby na krańcu świata. Miał tam panować władca, będący zarazem kapłanem, coś nakształt biblijnego Melchizedecha, dawano mu dziwną nazwę księdza Jana, po francusku „Le prêtre Jean”. Była to postać niemal legendowa, nawpół bajeczna, nikt nie wiedział na pewno, gdzie ten osobliwszy władca-kapłan panował, wieści tylko, pogłoski, podania o nim zapisywali w swych księgach kronikarze wieków średnich. Autorka wyjaśnia tę tajemnicę, a możemy jej wierzyć, bo wiadomości swe czerpie zawsze z najpoważniejszych źródeł. Prawda tu zresztą bardzo podobna także do bajki.

W pobliżu świętego morza Bajkału, po za ochronnym murem gór Karakorumskich, rozsiadł się koczowniczy, tatarskiego pochodzenia naród Cheraitów. Na początku XI-go stulecia księga Nestoryanie wezwani byli do władcy tego ludu, który zasłyszał o chrześcijańskiej wierze i zapragnął bliżej się z nią zapoznać. I przyjął chrzest nestoryański, został wyznawcą krzyża, za jego przykładem poszedł prawie cały naród. Władca ów zwał się Ong-chan, czy Jong-chan, europejscy podróżnicy łatwo z tego zrobili Johan, francuskie Jehan, a ponieważ w Persyi namiestnikom, rządzącym krajami, nadawano tytuł *Prester*, Persowie nazywali owego władcę Cheraitów „Prester Jong-chan”, co z łatwością przemieniło się na ówczesne francuskie *Prestre Jehan*, czyli ksiądz Jan. Jonghan musiał być zresztą rzeczywiście kapłanem, a nawet biskupem, gdyż u Nestoryanów prawie każdy mężczyzna do hierarchii kapłańskiej był zaliczany.

Teraz zaczyna się coś podobnego do bajki wschodniej. Ong-chan miał córkę rzadkiej urody i mądrości, zwała się Siurkukteni. Jeden z lenników władcy zapragnął ręki cudnej księżniczki dla swojego syna, Ong-chan odmówił i to w sposób upokarzający. Lennik zemścił się straszliwie, podniósł rokosz, wylał morze krwi, zabił Ong-chana i państwo jego zagarnął, a piękna księżniczka Siurkukteni, porwana gwałtem, musiała rada nie rada zostać żoną owego wielbiciela, którym wprzód pogardziła. A teraz ostatnie słowo wyjaśnienia: ów lennik, szczęśliwy zwycięzca Ongchana, nazywał się Temuczyn, później nosił miano Dżyngis-chana. Czyście zrozumieli? Taki był początek wielkości sławnego mongolskiego władcy, który zatrzęsł następnie światem całym.

A jednak ów syn najstarszy Temuczyna, Tuluj, małżonek księżniczki charaickiej, nie zasiadł po ojcu na tronie, następcą mianował Dżyngischan trzeciego z rządu syna, Ogotaja. Ten to właśnie umarł był niedawno, na jego miejsce wybierać miano wielkiego chaana na kuryłtaju. Straszny Temuczyn przez całe życie był niszczycielem, zburzył miast niemało, nic nigdy nie zbudował. Syn jego Ogotaj postanowił wznieść stolicę w swoim państwie, obrał na to ową ziemię Cheraitów, dawną siedzibę Ong-chana, czyli księdza

Jana. Miasto zbudowane przez niego na wybrzeżach Orehonu, u stóp gór Karakorumskich, otrzymało także nazwę Karakorum, czyli miasto czarne. Takie bowiem jest znaczenie wrazu *kara*, często używanego w nazwach tatarskich, u nich wszystko było czarne, widocznie pociąg mieli do ciemności, światła unikali, jak drapieżne nocne ptactwo. Owem miastem, do którego przybyły branki nasze, po dwuletniej wędrówce na olbrzymich wozach tatarskich, było to właśnie Karakorum. Pomiędzy Mongołami budowniczych nie znano, oni wszyscy, tak samo, jak ich Wielki Mogoł, przywykli tylko niszczyć, budować nie umieli. Sprowadzono więc z Chin zdolnych mistrzów w tej sztuce, i stolica Ogotaja przybrała cechy miasta chińskiego, miała dachy skrzydlate, z wywiniętymi, jakby do lotu spiczastymi końcami, zdobne w wisioły, frenzle, dźwięczące za wiatru powiewem dzwoneczki. Smoki chińskie wybornie też nadawały się na symbole tatarskie.

Musimy tu wspomnieć o wypadku, który zaszedł podczas podróży brank i znaczny wpływ wywarł na ich dalsze losy. Toktyusz, brat Ajdara, mąż Arguny, zginął w jakiejś utarczce, a wdowa jego, obyczajem tatarskim, przeszła wraz z synem pod opiekę Ajdara. Zbliżyło to więcej jeszcze Elżbietę z Ludmiłą, mieszkaly bowiem teraz prawie pod jednym dachem. Nieraz już przedtem Ajdar, dogadzając gołabce swęj miłej, usiłował dla nięj wykupić Elżbietę, lecz Arguna za żadne skarby nie chciała odstąpić nikomu piastunki, niosącęj szczęście dziecku.

Złośliwy Kałga choć trochę teraz poskramiać musiał swe niegodziwe zapędy, stryj nie był dla niego tak pobłażliwy, jak ojciec i chytra Arguna przypochlebiać się zaczęła Ludmiłę, by przez nią łaskę Ajdara pozyskać. Ludmiła korzystała z tego i starała się wymódz na srogięj Tatarce ulgę jakąś dla biednej przyjaciółki. Nieraz też zdarzyło się, że gdy Kałga uderzył Elżbietę, stryj niby to za coś innego, przy pierwszej sposobności, różgami go potraktował. Zrozumiała rzeczy Arguna i zaczęła się z niańką lepiej obchodzić, a Kałgę od okrucieństwa powstrzymywać.

Wypocząwszy nieco po podróży, branki obejrzały miasto. „Ludmiła jechała konno, strojno, z orszakiem, Ajdar nie pozwał inaczęj. Elżbieta szła przy nięj w swoim kożuszku i barankowęj czapce. Oczy Ludmiły zachodziły gniewem i łzami na widok tej różnicy; ona czuła się tyle niższą od swojej świątobliwej przyjaciółki, a musiała patrzeć na jęj poniżenie”. Zwiedziły najpierw kościół Nestoryanów, sądziły, że tu znajdują jakąś pociechę religijną u chrześcijańskich księży; zawiodły się biedne, ciemni, zabobonni ci ludzie, z nazwy już tylko byli chrześcijanami.

W kilka dni po przyjeździe do Karakorumu spotkał Ludmiłę niespodziewany, niemiły wypadek. Kajkuł, ów straszny poborca chański, przybył także na kuryłtaj i obaczywszy ją na ulicy, poznał odrazu piękną brankę, dla Chaana przeznaczoną. Wiedział, że znikła, ale jak? Ucieczka Ludmiły z Jasiem nawet dla Ajdara była tajemnicą, żona nie przyznała mu się do tego, co dla Mongoła stanowiło straszną zbrodnią. Teraz Kajkuł niespodzianie Ludmiłę ujrzał i powiedziano mu, że to małżonka Behadyra Ajdara; ztąd wniosek prosty: Ajdar ją porwał, przechował i tym sposobem popełnił przestępstwo okropne, przywłaszczył sobie własność wielkiego Chaana. Zbrodnia ta karę śmierci pociągała za sobą, ale Ajdar był Terchanem, to jest miał zapewnioną bezkarność. W każdym razie winną tu była także i Ludmiła, ona odpowiadać mogła za siebie i męża, i Kajkuł, jak wiemy, dawny wróg Ajdara, natychmiast wytoczył tę sprawę przed Mangussarem, wielkim sędzią. Ajdar tłumaczył się, że to nie on, lecz właśnie Kajkuł przez zausznika swego Kargana okradł Chaana, gdyż Ludmiła schroniła się u niego, uciekając przed Kargunem, który ją miał wydać Kajkułowi. Nie znając całej prawdy, w dobrej wierze, Kajkuła niewinnego w tym razie oskarżał. Kargan nie mógł być przestuchany, gdyż zginął z ręki Behadyra. Jakże tu dowieść, kto prawdę mówił, kto kłamał?

Mangussar znalazł na to sposób. Bajkał, morze święte,

NITECZKA ARYADNY.

(Dla Śnieżycy i Krasnolicy od Wiosny).

a	grze	wik	plój	cej	ce	ście	Gdy
wa	sło	za	wię	cie	nie	słoń	wa
za	ło	nie	w czar	ko	le	tkę	so
pa	sie	no	czas	nym	ja	sie	bó

jest mieszkaniem strasznych duchów. Tam na wysepce Olchonie mieści się stolica Szamanów, owych kapłanów czarowników, którzy tak potężne znaczenie mieli u Tatarów, że ich rady zasięgano we wszystkim. Gdzie z Bajkału wypływa rzeka Angara, wznoszą się tak zwane wrota angarskie. „Słup skalisty, cienki, jakby filar, występuje samotnie z wody i przerzuca się aż do brzegu bajeczną arkadą, pod którą przepływają zdumieni żeglarze. A przepływają nietylko dla podróży, albo rybołówstwa, ale i dla strasznej próby sądowej, bo za temi wrotami, na środku Angary, leży święty kamień. Z pozoru kamień to jak wszystkie inne, prosty odłam skały, sterczący z pomiędzy fal śpionych. Tak — ale ma cudowną własność. W obec niego nie można, ani krzywoprzysięgać, ani fałszywie świadczyć, ani nawet na żart oszukiwać. Duch, strzegący kamienia, każe najstrasliwiej, bez miary, wszelkie rozminięcie się z prawdą. To też nietylko dawniej, ale i dziś jeszcze, w obec tego urwiska Buryat za nic w świecie nie skłamię. Mongołowi nie wierz nigdy, ale jeśli ci przysięgnął na kamień Angary, wtedy mu ślepo wierz.”

Sprawa pomiędzy Ajdarem i Kajkułem tylko tym sposobem rozstrzygnięta być mogła: mądry Mangussar orzekł zatem, że Ludmiła przysięgnąć musi na kamień Angary, jako nie od wielkiego Chaana, lecz od Kajkuła, któremu ją Kargan miał wydać, uciekła. Jeżeli skłamię, duchy ją niezawodnie śmiercią ukarzą, jeżeli zaś wyjdzie cało z tej próby, będzie to dowodem kłamstwa Kajkuła. Ten nie jest Terchanem, więc śmierć poniesie za to, iż brankę Chaana u siebie przechował.

Tu już nie możemy, ani skrócić, ani zmieniać dramatycznego opowiadania autorki, podajemy je więc w całości.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Nieznajomego dla Złotej Rybki.)

Niosę ci szaradę, kochana Złota Rybko:  
Wspak *druga z pierwszą* po wodzie płynie szybko;  
*Pierwsza i druga* niech na cię nigdy nie spadnie,  
Wspak *trzecie* jest kwiat, co pachnie bardzo ładnie,  
Wspak *drugie* miara, ziemię się nią mierzy,  
Kto chce niech mi nie wierzy.  
A jeśli wierzyć zechcecie,  
Powie, że nutą *czwarte*, a *pierwsze* w alfabecie.  
Jeżeli jeszcze szarady nie zgadniecie,  
Wiedźcie, że cesarem rzymskim był cały,  
Liczne narody go znały.

Odpowiedź na zadanie z N-ru 12 „Wiecz. Rodz.”

Powietrze gorące w okolicach wilgotnych zawiera dużą ilość pary, która przy najłżejszem oziębieniu zgęszcza się i osiada na zimnych przedmiotach. Indyje są, jak wiadomo krajem gorącym i wilgotnym, w opisanym wypadku zanosilo się na burzę i było parno. Szklanka z lodem oziębiła otaczające ją powietrze i para, nie mogąc się już w niem utrzymać w tak wielkiej ilości, jak przedtem, osiadła na jej powierzchni, a gromadząc się coraz więcej, spłynęła w kroplach na stolik.

Jedenastoletnia Rezeda.

Oprócz tego dobre odpowiedzi nadesłali: Carmen — Rybka na Mazowszu. — Mimoza. — Łozinka z nad Kresów. — Biała Konwalia z nad Narwi. — Delfin. — Serce prawe. — Pajac. — Góralka z Krynicy. — Białoszka. — Różyczka Biała z Wołynia. — Wiselka. — Poranek majowy. — Stokrotka z nad Pilicy. — Niezapominajka z nad Warty. — Szara ptaszyna z Podola. — Polka Mazurka. Były i inne dobre odpowiedzi, ale nie dodano do nich pseudonymów, dla tego nie zostały wymienione.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady:

Tur — nie — je.

Zagadki głoskowe:

Goły, jak święty turecki.

Zadanie ułożone według pisowni chińskiej.

Rebusa:

W swęj głupocie ludzie nieraz jak w puchu mile spoczywają.

TREŚĆ: List z Warszawy, p. Gołąbkę pocztową. — Zagraniczna pensyonarka, komedyjka w jednej odsłonie p. M. Z. — Pierwsze polowanie (z drzew.) — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Odpowiedź na zadanie z N-ru 12 „Wiecz. Rodz.” — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Nieśmiertelna taca (z drzew.) — Pracujmy, wiersz Poranka majowego. — Choroba Lolci. — Dobry Przykład. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy. Goście ciotki Klotyldy przez Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



## NIEŚMIERTELNA TACA.

Kiedy mieszkałem w małej mieścinie, jedną z największych moich przyjemności było patrzeć na zabawę dzieci z sąsiedztwa. Było tego ogółem sześciu niedużych chłopaczków, zbiegających się w wolnych chwilach na zabawę przed moje okna, ponieważ stało tam spore wzgórze, pozostałe z resztek wyniosłego tarasu po starożytnym zamkowym ogrodzie. Wyniosłość ta dosyć stroma, latem pokryta gładką jak aksamit trawką, zimą

dzania obręczy... w ogromną starą metalową tacę, uwieszoną za jedno ucho na niebieskiej wstędze u szyi dobo-sza, gdy drugie dotykało ziemi, co pozwalało dobo-szowi bębnić idąc nie tylko rękami, ale i nogami także: skutek był świetny, hałas piekielny.

— Ot, tego mi brakło jeszcze! — powiedziałem sobie z goryczą — zapewne tu codzień tak bywa.

Wtem ustał hałas. Trzój chłopcy stali na szczycie wzgórza, spoglądając prosto na mnie, rozmawiali żywo, naradzali się, a przedmiotem téj rady wojennej wido-cznie byłem ja. Niedługo to trwało, chorąży zatknął na



Nieśmiertelna taca.

śniegiem, nadawała się dzieciom wybornie do figlów. Bardzo być może, iż częste takie w pobliżu moich okien wyprawiane harce uprzykrzyłyby mi się mocno, gdyby nie okoliczność, że dobre i rozumne widać chłopczyki, tak się jakoś od pierwszego razu umieli wziąć ze mną do rzeczy, że chcąc nie chcąc musiałam ich polubić.

Było to zaraz na drugi dzień po mojem sprowadzeniu się do nowego mieszkania. Smutny, zrażony, zniechęcony, bo przyjaciół pozostawiłem daleko, stałem w otwartem dolnem oknie mieszkania, patrząc w stronę, z której przyjechałem; cisza panowała w przedmiejskiej nieludnej miejscowości, gdy odgłos trąbki, wygrywającej coś naksztalt pobudki, zwrócił moją uwagę. Na szczycie wzgórza ukazał się chłopczyzna mały, z chorągiewką w ręku, trębacz maszerował obok niego, dalej zagrzmiął straszliwy odgłos dziwnego jakiegoś bębna i dobosz zjawił się, waląc ze wszystkich sił grubszemi końcami dwóch pałeczek, służących zwykle do podpe-

szczycie swój chorągiewki białą chustkę i maszerował prosto ku mnie. Przyszedłszy do okna, stanął w pozycji, zdjął czapkę, uklonił się starannie wyuczonym uklonem i rzekł, patrząc mi w oczy uważnie, jakby chciał myśli odgadnąć:

— Proszę pana... pan świeżo wynajął ten dom... może nam tu niewolno teraz będzie się bawić, jak dotąd, na wzgórku?

— Nie mam prawa bronić wam zabawy na przeciwnej stronie ulicy, a wy pewno macie za sobą prawo przedawnienia — powiedziałem, nie wiedząc sam, z kądem mi przyszło żartować.

— Hm, prawa?... prawol... — powtórzył, kiwając głową z tak mądrą miną, jakby studyowanie prawa gło-wnem jego było powołaniem. — Ale może pan chory?

Przypatrywałem mu się w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć; bystry malec zgadywał doskonale stan mego ducha i zdrowia; pewny byłem, że musiał

mieć wuja, stryja lub ojca, który przyzwyczaił go do gawędek z sobą; widząc, że milcząc dodał:

— Niech pan nie sądzi, że my zawsze tak bębniemy, bo to tylko na kolegów... — i wskazał z temi słowy ku wzgórzom, na którym istotnie stało już teraz pięciu malców, a ci, widząc, że spojrzali ku nim na gest chorążego, ukłonili mi się czapeczkami.

— No, jeżeli nie ciągle tak bębnicie, to nie będziecie mi przeszkadzali — powiedziałem.

Chłopczyk ukłonił się i pobiegł wesoło do kolegów, zabawa rozpoczęła się i powtarzała prawie codziennie niezmiernie urozmaiconą. Chłopcy bujną mieli wyobraźnią i książki jak widać czytali, zdobywając z nich rozmaite pomysły, odgrywając nieraz całkowite sceny dramatyczne jakiejś. Raz zjawiała się między nimi malutka, siedmioletnia może panienka, której obecność natychmiast posłużyła im do nowego pomysłu: wsadzili ją do powozu zaimprovizowanego z owjej tacy i dwóch wiozło ją pod górę, brykając, rżąc i tym podobne wyprawiając końskie sztuki, trzeci, stangret, poskramiał rumaki ogniste, idąc sam pieszo koło owego powozu, zsiadłszy zeń zapewne ze względu na stromość góry, zwłaszcza, że między nami mówiąc, w powozie dlań miejsca nie było, pani drzemała. Wtem, gdy dojeżdżano do szczytu wzgórz, z zarośli po starym ogrodzie wypadło dwóch, rozbójników widocznie, krzycząc: pieniądze albo życie! i rozpoczęła się walka straszliwa, z przywiązaniem do swjej pani stangretem: wrzawa była okropna, stangret walcząc wołał ratunku, konie rwały się i szarpały, aż przewróciły powóz, pani krzyczała w niebogłosey ze strachu, ale przemoc zwyciężyła wkrótce. Związano panią, ubito stangreta, zabrano ekwipaż i skarby jakiejś w szkatule od sardynek, i uprowadzono to wszystko w las.

Wtem z przeciwnej strony wyskoczył rycerz, jeden tylko, ale jaki!... Cały błyszczał papierową zbroją, a jak zaczął machać szablą, tak zbójców pozabijał, stangreta ocucił, konie spłoszone poskromił i rycerskimi ukłonami uspokoiwszy panią, wsadził ją napowrót do powozu i w dalszą drogę wyprawił bezpiecznie.

Wśród różnych zabaw ukazywała się zawsze jedna, nieśmiertelna owa taca: tacę tę kładło się na murawie lub na śniegu, na szczycie wzgórzka, dwóch chłopców siadało na niej, jeden na drugim nieledwie, a inni wspólnymi siłami spychali tacę z góry, i pędziło się, jakby najpyszniejszymi saniami... powtarzając sztukę, dopóki wszyscy z kolei nie użyli uciechy...

## PRACUJMY.

Tam ponad łąką, ledwie dojrzany,  
Miły skowronek szybuje,  
I szląc piosenkę Panu nad pany,  
Ludzi do pracy zwołuje.

„Wstańcie, wciąż nuci, wszak czas by w polu,  
Pług orał bruzdę głęboką;  
Siejcie już zboże, niech bez kąkolu  
Wyrośnie złote, wysoko.”

Lube słoneczko świeci nam z nieba,  
Cały świat jak odrodzony

Zdaje się mówić: Pracować trzeba,  
Wszak na to człowiek stworzony.

Więc usłuchajmy śpiewu ptaszyny,  
Bo być czynnym każdy radzi:  
Nie traćmy marnie ani godziny,  
A praca... pewno nie zdradzi.

*Poranek majowy.*

## CHOROBA LOLCI.

— Pójdź bawić się w koniki, Lolciu! — powiedział Bolesław. Lolcia pobiegła natychmiast i bawili się jakiś czas wesoło i zgodnie, jak to oni zawsze, aż gdy się Bolciewi koniki sprzykrzyły powiedział:

— A teraz grajmy w piłkę!

— Jabym wolała obrazki oglądać!... — nieśmiało szepnęła Lolcia.

— E, co tam obrazki, zostawmy je na słotny dzień, gdy w pokoju trzeba będzie siedzieć, a teraz póki w ogrodzie jesteśmy, grajmy w piłkę! — upierał się Bolcio i grali w piłkę, aż gdy się Bolciewi jeść zachciało, powiedział:

— Pójdźmy na podwieczorek — i poszli do pokoju. Bona podała im podwieczorek posadziwszy ich na dwóch wysokich krzesłach przy stole, ale zanim Lolcia zdążyła połowę swego mleka z bułką zjeść, oczki jej się skleiły, główka schyliła na poręcz krzesła, bona widząc to coprędzej podłożyła poduszkę pod główkę i Lolcia zasnęła głęboko, a twarzyczka jej, z bardzo rumianej, stała się teraz bardzo bladą. Bona się zlekła, pobiegła po mamę; mama przyszła, przypatrzyła się śpiącej Lolci, ostrożnie położyła rękę na jej głowie, pottrzymała jej rączkę w swoich palcach żeby się pulsu dowiedzieć, a potem wyszła z Bolciem do drugiego pokoju i tam go wypytywać zaczęła, jak się oboje z Lolcią w ogrodzie bawili? w co? i jak długo? A gdy Bolcio wszystko dokładnie opowiedział ze łzami w oczach, bo słabość i bladeść siostry okropnie go przeraziły, mama potrząsając głową, rzekła:

— No, wiem już teraz z czego Lolcia jest słabą, oto zmęczyła się nad miarę przy zabawie w konie i w piłkę, a ona jest bardzo delikatna i nie ma dużo sił, co też czując, prosiła cię po kilka razy żebyś nie tak męczącą wybrał zabawę, a ty...

— A ja wymagałem żeby męczyła się dalej, ach ja przyprawiłem Lolcię o chorobę! — zawołał Bolesław płacząc rzewnie.

— Na ten raz, szczęściem nic się jeszcze bardzo złego nie stało — powiedziała mama. — Lolcię gdy się obudzi, położy się zaraz do łóżeczka i mam nadzieję że wypocząwszy, będzie jutro zdrowa; tylko teraz cicho się sprawnij, aby jej nie budzić, i na drugi raz pamiętaj, że dziewczynka słabszą jest od chłopczyka, a więc trzeba mieć dla niej względy i nie wymagać aby się męczyła zbyt mocno.

— Nigdy, nigdy już więcej w życiu nie będę zmuszała Lolci żeby się tak męczyła!... — przyrzekał Antos płacząc i rączką zatulając buzię, żeby płaczem Lolci nie zbudzić. Lelcia wyzdrowiała, a dobry braciszek nie tylko odtąd nie żądał aby się z nim jak chłopczyk bawiła, ale nawet sam pilnował, żeby się nie męczyła za bardzo.

## DOBRY PRZYKŁAD.

(Dokończenie).

— A wy, czy lubicie ręczne robótki? czy dużo macie książek do czytania? — pytały młode gospoście. Malwinka i Leonka spojrzwały zakłopotane jedna na drugą i nie wiedziały, co odpowiedzieć. One wołały bawić się lalkami, niż robić robótki. A ich książki, w jakim opłakanym znajdowały się stanie: bez oprawy, z poplamionymi i powydzieranymi kartkami. Myślały z przerażeniem, jak one je pokażą, gdy Szczęskie przyjdą do nich? Siedziały zawstyżone i z trudnością mogły odpowiadać na pytania.

Lecz widać w ten dzień składało się wszystko, aby ich frasunek powiększyć. Przy herbacie Antosia z zadziwiającą zręcznością pomagała ciotce rozstawiać szklanki, smarować chleb i usługiwać gościom. Jadzia zajęła się braciszkiem, nalewając i podając mu co potrzeba. Pan Elski patrzył z zachwyceniem na te panienki i głębokie westchnienie wydobyło się z jego piersi. Córeczki jego zrozumiały to westchnienie i bardzo nisko pochyliły główki nad szklankami. One nie pojmowały tego, co znaczy przysłużyć się innym; dla nich w domu wszystko było podane i przygotowane.

Po herbacie dzieci znowu poszły do swego pokoju, ale rozmowa jakoś się nie kleiła, pomimo starań gospodyń. Wreszcie Malwinka zapytała:

— Czy często bywacie w teatrze? Jutro ojczulek przyrzekł zawieźć nas do teatru, może i wy wybieriecie się razem?

— My nigdy nie bywamy w teatrze — odrzekły zapytane. — Nasz ojciec nie ma na to pieniędzy, to byłby zbytek dla nas. Przytem znajduje, że to jeszcze i zawcześniej w naszym wieku bywać w teatrze. Jak wyrośniemy i zarabiać zaczniemy własne pieniądze, wtedy można będzie pomyśleć o teatrze i innych zabawach. A jutro nas czeka wielka praca; oddadzą bieliznę z prania, trzeba przejrzeć i ponaprawiać swoje i braciszka; zajmie to nam cały wieczór.

— Jakto, wy same naprawiacie bieliznę? — spytały jednogłośnie Elskie.

— A któżby nam naprawiał? Ciocia ma wiele zajęć z gospodarstwem i domem, służby mamy nie wiele, a więc wszystko robimy same: naprawiamy bieliznę, ścielemy łóżka, doglądamy braciszka. A wy, czy nie naprawiacie same bielizny? — spytały Szczęskie.

Malwinka i Leonka zarumieniły się i zamieniły spojrzenie, cichym głosem odrzekły:

— Nie, nam podają wszystko gotowe.

— O, bo wy zapewne jesteście bogate — odparły

tamte. A nam ojczulek zawsze powtarza, abyśmy nauczyły się wszystko same robić, a jak będziemy dorosłe, na niczyją pomoc nie liczyły, umiały same sobie radzić we wszystkim. Ojczulek nie ma majątku i w przyszłości czeka nas praca. Zresztą i przy majątku, któż może przewidzieć, co go spotka? Często bogaci stają się biednymi.

Rozmowa ta jednak wkrótce była przerwana, bo Szczęskie zauważyły, że ich goście siedziały smutne i zakłopotane.

— Będziemy w gry grać — powiedziała wesoło Jidzia. — Czy lubicie gry? — zwróciła się do Elskich.

— O bardzo lubimy — odrzekły dziewczynki jednogłośnie, i wkrótce ustawiono duże koło. Zjawił się sznurek, obrączka; potem grano w pocztę, potem w kolory, w cenzurowanego, w wilka i wiele innych. Okazało się, że i w urządzaniu zabawy Szczęskie posiadały niepospolitą umiejętność i za ich sprawą gry szły w porządku i z ożywieniem wielkim. Antosia i Jadzia z taką zręcznością, z taką wprawą kierowały wszystkim, że nawet Julek, nie lubiący prawideł i porządku, poddał się pod ich rozporządzenia z uległością. Wesołe dziecięce głosy rozlegały się po całym domu, i Malwinka z Leonką zapomniały też o smutnem zakłopotaniu, śmiały się i biegały żwawo wraz z innymi.

Nie postrzegły, jak wybiła godzina dziesiąta, i gdy ojciec ich z gospodarzem domu ukazał się na progu, aby przypomnieć o powrocie do domu, z żalem zaczęły się żegnać. Pan Elski żegnając zaprosił serdecznie pana Szczęskiego z dziećmi do siebie; wtedy dopiero Malwinka z Leonką przypomniały sobie przygody tego wieczora, posmutniały znowu, nie miały odwagi dołączyć swych prośb do zaproszeń ojca.

W drodze, gdy ojciec zapytał, jak im się podobały Szczęskie, dziewczynki milczały; pogrążone w myślach, siedziały nieruchome ze spuszczonei główkami. I po powrocie do domu, gdy się położyły do łóżeczek, długo nie spały, a głębokie westchnienia wydobywające się z ich piersi, świadczyły, że główki i serca zaprzętają poważne rozmyślenia.

Nazajutrz, gdy ojciec wszedł do ich pokoju i zobaczył, z jaką gorliwością wzięły się panienki do porządkowania rzeczy, zrozumiał ich milczenie, zrozumiał, że nowa ta znajomość nie będzie bezowocną dla jego dzieci, że różnica jaką spostrzegły w miłych, dobrze ułożonych i pracowitych panienkach, musi wpłynąć na ich miłość własną i obudzić postanowienie zmiany w postępowaniu.

Z wyrazu twarzy swoich córek, ze spojrzeń, jakie rzucały wzajem na siebie, składając poniszczone rzeczy, widział dobrze, iż się nie myli i cieszył się w duszy, że mu losy zesłały tak szczęśliwą znajomość i postanowił utrzymywać jaknajczęstsze stosunki z domem Szczęskich. Życzymy i my, aby ten dobry przykład wywarł nie chwilowe wrażenie, lecz był prawdziwym wzorem i wskazówką zmiany na lepsze.

Ritta.

## SZARADA.

(Od Heliotropa dla Nieznajomego).

*Pierwsze* w literach się mieści,  
*Drugie* zwykle Chińczyk pieści,  
*Drugie* trzecie w każdej dobie  
Każdy człowiek ma przy sobie,  
*Wszystko* razem w połączeniu  
Służy ku stróżów utraپieniu.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 19-go.

### Zadania konikowego:

4 Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

## Skrzynka do listów.

**Amazonce podlaskiej** dziękujemy za dalsze wspomnienia z podróży, żalując, że nas ominęła sposobność poznania jej w naszej redakcji, bo kochamy bardzo panienki, które się umieją tak poprawnie wyrażać w ojczystym języku.

**Jesieni** serdecznie wdzięczni jesteśmy za dobre dla nas uczucia. Pragniemy, aby pamięć „Kochanej pani” nie zaginęła nigdy w sercach dzisiejszych czytelników „Wieczorów” wielką więc dla nas są pociechą listy, jak ten, który odebraliśmy obecnie od kochanej Jesieni.

**Śnieżycy i Krasnolicy** za przysłane fiołki Gołąbka serdecznie dziękuje, miłym jej był bardzo ten dowód pamięci,

**Rezedka** trafnie odgadła zagadki w pierwszej tylko zamiast dzieci, należy czytać ludzi.

**Kornelius Scipio** kłania się Leliwiance i Jagódce.

**Hajduczek** dobrze zrobił, że nareszcie napisał do nas. Tajemniczy jesteś, Hajduczku, bo nie dodałeś prawdziwego swego nazwiska. Zagłoba zgadłby je pewnie, ale my nie możemy, a Pismo staranne i wyrażne, aż ochota bierze poznać taką porządną korespondentkę.

**Miłość**, to także nowa znajoma. Chcielibyśmy dogodzić waszej Miłości, ale czemu łamigłówkę na tej samej co listy przysłano karteczce? Jedno i drugie może iść wtedy do kosza, tym razem poszedł tam list, a łamigłówkę jeśli będzie dobra wydrukujemy.

**Czyżyk i Lucio des E.** dobrze odgadli zagadki i rebus, powinno ich to zachęcić na przyszłość.

**Kmiotku** kochany! bardzo nam przykro, że list twój przepadł, ale czemu nie adresowałeś go do kogo z młodzieży, byłby doszedł niezawodnie.

**Polka Węgierka** Niech przyśle listy do *Cichéj wody* chętnie go wydrukujemy.

**Biała Myszka z Płocka** bardzo miłutko napisała. Witamy z radością tę nową Myszkę. Gołąbka w ostatnim liście odpowiedziała na jej pytania.

**Promyczka** listy wzruszył nas. O! bądź zawsze rozweseleniem i pociechą swoich, kochany ty Promyczku, słusznie nie chcesz odstąpić tak pięknego pseudonimu, od dawna się z nim znamy. P. Urbanowska ucieszy się tem, co piszesz, prawda, że ona wybornie do serc czytelników trafiać umie.

**Gospozi z nad Warty** dziękujemy serdecznie za przysłaną trawkę i słowa zachęty, które nam są bardzo miłe. Dobrze, że przykład pani Zaleskiej tak na Gospozię oddziaływał i śliczny jej zamiar uczenia się samej, tylko czy nie zawiele na raz rozpoczyna przedmiotów? Radzilibyśmy zacząć od dwóch lub trzech, a wyuczwszy się tych, pracować nad innymi. W przyszłej Skrzynce podamy Gospozi tytuły książek wraz z cenami.

**Myśliwcowi** za jego dar pocziwy dziękujemy serdecznie.

**Gołąbka pocztowa** z wdzięcznością odebrała przeznaczone dla niej listy i kwiatki, jak tylko znajdzie się w Wieczorach miejsce sama pośpieszy z odpowiedzią.

Drogi moje Cyganeczko z nad Wisły, Sarenko z nad Moroczku, Westalko i Wiochno z pod Lublina! Wybaczcie żem tak długo na wasze listy miłe nie odpisywała, lecz chorą byłam na koklusz. Moja Cyganeczko złota, donieś mi co najlepiej lubisz grywać, bo ja sonaty Mozarta, czy grywasz na 4 ręce? Ja z moją starszą siostrą, gram przeważnie uwertury z oper. Nie uwierzysz Westalko, jak lubię fizykę i wszystkie nauki przyrodnicze, zachwycają się Pracownią p. Adama. Czyś czytała Słowackiego? Mnie najlepiej się podobała Maryja Stuart, Ojciec zadumionych i Wacław. Odpiszcie proszę *Jesieni*.

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Za listy dziękuję ci serdecznie. Jak przeszły ci święta, czy wesoło? czyś się zajmowała robotą, bo ja z siostrami byliśmy tą robotą bardzo zajęte. Doczekałam się nareszcie wiosny, to też jej używam w wolnych chwilach od zajęć, chodzę po ogrodzie i zbieram siołki i z wielką radością widzę, że listków na drzewach co dzień więcej. Mamy zmartwienie, kuc nam zachorował i na spacerach jeździć nie możemy. Czeka rychłej odpowiedzi kochająca cię *Westalka*.

Kochana Gałązko bzu! Bardzo podoba mi się twój pseudonym i dlatego pragnę z tobą korespondować. Ja mam lat 14, noszę imię Melanii, mieszkam w mieście; uczę się przy nauczycielce, mam jedną siostrę, znacznie od siebie starszą. Napisz mi co o sobie. *Hajduczek*.

Kochana Łezko znamy się dobrze, na imię ci Janinka, kochasz bardzo brata Ludwika, Zygmunta i Jana mniej, a najwięcej kochasz... siebie. Zgadnij kto jestem? kochająca cię *Miłość*.

Kochana Rusalko, ładny obrałś sobie pseudonym, zazdrościsz ci go bardzo, jeśli go będziesz kiedy zmieniać to go sobie wezmę. Odpisz mi gdzie mieszkasz ile masz lat, jak się nazywasz, bo mnie się zdaje, że znam cię dobrze, i jeśli zechcesz pisywać do mnie, będę ci wdzięczna. *Noc Księżycowa*.

Kochany Alchemiku. Dlaczego nie odpowiedziałeś na mój list; Jak się miewasz. Co u ciebie słychać. Co znaczy, że się teraz tak mało odzywasz? Twój *Farys*.

Droga Poziomeczko kujawska. Chcę z tobą korespondować. Napisz mi jak się nazywasz, gdzie mieszkasz? Ja mieszkam w lesie, gdzie mnóstwo jest poziomek, mam obszerny ogródek kwiatowy, który jest najmilszą moją rozrywką w lecie. Ścisła cię serdecznie *Indyczka podolska*.

Droga Blondynko z Piotrkowa i Kropelko wody z Wisły. Dziękuję ci Blondynko, że mnie za sympatyczną staruszkę uważasz. Czy i ty wyłączoną z konkursów jesteś? Musisz być miłą dziewczynką o jasnych włosach. Ja przeciwnie, jestem szatynką mocno rumianą. Kropelka musi się na mnie gniewać? Jeżeli ją obraziłam, to serdecznie przepraszam, i proszę by pisywała. Czy wiesz kto jestem? Ja nic się o tobie dowiedzieć nie mogę. Wasza *Jesień*.

Halko z Litwy tak się ładnie zowiesz, że proszę abyś mi co o sobie doniosła. Odpowiedz *Jesieni*.

Kochana Radziwianko! Czy zechcesz ze mną korespondować? Napisz mi ile masz lat i jak ci na imię? Ja mam lat 8 i imię jednej z żon Władysława Jagiełły. Czy znasz wioskę Radziwie? Ja znam ją bardzo dobrze, bo mieszkam w Płocku, a ty gdzie? Bądź tak dobrą odpisz prędko, pragnąc się z tobą zaznajomić *Białej Mysce*.

Najdroższa Amato! Śpieszę by czempredziej podzielić zdanie które wypowiedziałas w N-rze. 5-tym naszych kochanych „Wieczorów Rodzinnych” gdyż jestem z liczby tych dziewczyn, które w okolicy, gdzie się urodziły jest światem. Mieszkam obecnie na Polesiu, w okolicy, którą w roku zeszłym p. Zielińska opisała w powieści: „Na Zbójcekim Ostrowiu” i choć mam lat 15-cie skończonych, jednak dalej nie byłam, jak o mil 20-cia od miejsca mego urodzenia. Przyjaciółka *Stokrotka z nad Stochodu*.